Świat powieściowy.

Nr. 122 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Arnold chciałby był całą swą wymową protestować przeciw temu bluźnierstwu! Jemu się zdawało, że Lola jest młodszą od najmłodszych, piękniejszą od najpiękniejszych! On kochał Lolę, kochał jak kochają w dwudziestu latach niezepsuci sercem, nieprzeżyci życiem lekkomyślnem młodzieńcy.

Jakiego rodzaju było to uczucie, dla równej mu sieroctwem istoty, nie zastanawiał się zupełnie. Kochał, bo ją jedną znał bliżej, bo litował się nad jej strasznem nieszczęściem, bo była opuszczona od ludzi, była sama z swym losem sierocym, nieszczęśliwa i złamana. Była dla niego dobra i tkliwa, kochał, choć była znacznie starsza od niego, zwiędła, blada i tak wątła, jakby już tylko w połowie była tej ziemi mieszkanką. Kochał ją jednak zapewne najbardziej dlatego, że serce jego rwało się już do miłości, o której, pomimo ślęczenia mozolnego nad naukami, marzył cudownie, a ideały tych marzeń na gwałt przyoblekał w postać Loli, choć ta daleką była od podobieństwa do nich, jak również daleką była od domyślenia się, co działo się w sercu Arnolda. Ona przywiązała się do niego jak do brata rodzonego, pragnęła jego szczęścia i gdyby do osiągnięcia tegoż potrzebna była z jej strony największa ofiara, nie zawahałaby się i chwili. Kochała go wspomnieniem roskosznego marzenia, jakiem się długo cieszyła, łącząc go z ukochaną siostrą, i był jej drogim bardzo, bo wiedziała, jak drogim był tejże, ale nawet przez głowę nie przemknęła jej jakakolwiek myśl miłośna. Uważała go za dziecko niemal w obec siebie. Przebyła już i przebolała tyle, że przeszłość wydawała jej się nieobliczoną w lata, od przyszłości zaś nie spodziewała się już niczego. Zdawało jej się zresztą niepodobieństwem, by tyle przebytych a bolących jeszcze ciosów nie zaprowadziło jej wkrótce do mogiły. Jeżeli miała jeszcze jakieś nadzieje, to tylko w szczęśliwej przyszłości przybranego brata, zapominając, że on krwią jest jej obcym i jest już w wieku, w którym dla młodego człowieka ciągłe towarzystwo jednej kobiety jest zawsze niebezpiecznem, chociażby ta była starszą i brzydszą od niej.

Jak wszystko na świecie, tak i nauki Arnolda skończyły się wreszcie. Ujrzał się z dyplomem wyszczególnienia skończonym maturzystą. Była to chwila większej radości Loli, niż jego. Biedna sierota nie myślała, że serce jej zdolne jeszcze odczuć coś tak żywo.

— Jakże się cieszę panie Arnoldzie, jak wdzięczną jestem panu za tę chwilę! Teraz musisz pan sobie odpocząć, pojechać trochę do cioci, która nas tak usilnie zaprasza. Powinien pan być wesół i szczęśliwy, cóż więc robi cię milczącym i smutnym? — ciągnęła dalej, zwróciwszy teraz uwagę na zakłopotanie młodzieńca. — Smutny, i to dziś, gdy jesteś na brzegu urzeczywistnienia swych nadziei udania się na wydział medyczny?! Nie troszcz się, nie troszcz mój dobry, kochany bracie! — rzekła po chwili zarumieniona, jakby teraz dopiero zrozumiała przyczynę tego nienaturalnego usposobienia młodzieńca. — Przecież jestem twoją siostrą, więc wolno mi przyjść ci w pomoc, a ty nie masz prawa zranić mię boleśnie odmową. Nie troszcz się — ja ci zawsze dłużną pozostanę! Wdzięczność, jaką winna ci jestem, nie spłaci się nigdy i niczem! Pożyczę ci tylko potrzebny kapitał na ukończenie studjów, lecz pożyczę na ogromną lichwę, bo gdy zostaniesz już lekarzem, zacznę chorować i będziesz mię musiał leczyć bez honorarjum żadnego, a cho-

rując tak lat dziesięć umrę nakoniec, i ty mię musisz pochować i żałować jeszcze! Widzisz więc, że lokuję kapitał na pewną hipotekę, i kieruję się tylko egoizmem!...

Mówiła to prędko, z rumieńcem ożywienia na twarzy i łzami w oczach. Od łez także szkliły się oczy Arnolda, który rękę Loli do ust cisnął, ale na słowo zdobyć się nie zdołał. Po długiej chwili dopiero odezwał się:

— Pragnąłem tej chwili, dożyłem jej, bo w niej skupiłem marzenia o jedynem dla mnie szczęściu! Oddając pani dyplom mój, chciałem się jej przyznać... to jest chciałem właściwie powiedzieć, wyznać... przysiądz, że... ale nie! ja tego nigdy nie odważę się powiedzieć! Gdybyś pani się rozgniewała i odmówiła, rozwiała moje nadzieje... o! to na cóż ja się tak męczyłem, tak pracowałem, kiedy umarłbym z rozpaczy!

Wyrzekłszy te słowa w największem pomięszaniu i rozgorączkowaniu, pospiesznie opuścił pokój zdziwionej Loli.

Tego dnia już go nie widziała więcej. Długo na niego czekała na ganku, lecz jedenasta uderzyła a on nie nadchodził. Niepokój ją ogarnął i długo usnąć nie mogła, nadsłuchując ciągle kroków nadchodzącego. Nim jednak je usłyszała, usnęła snem ciężkim, gorączkowym.

Stara Elżbieta wnosząc rano tacę z przyborami do kawy i stawiając ją na stoliczku przed Lolą dziwnie rozdrażnioną, rzekła z uśmiechem:

— Jakto ci młodzi panicze, gdy który się wyuczy, to się zaraz honoruje i jakieś fanaberje rozpoczyna! Ot i nasz, zawsze sam się z pannuńcią rozmawiał, a dzisiaj już przez pisanie! Wyszedł cichutko do mnie, do kuchni, daje mi ten list i mówi: — (a taki był czerwony jak piwonja.) — „Proszę was Elżbieto, oddajcie pannie ten list“ — i poszedł do siebie i na klucz się zamknął, pewnie żeby mu nie przeszkadzać. Może i kawy nawet pić nie zechce!

Lola nie słyszała końca uwag swej sługi. Zdziwiona korespondencją Arnolda, oddzielonego od niej tylko kilku krokami, rozdarła spiesznie kowertę, i przebiegając oczyma wiersze listu, czerwieniała i bladła na przemiany. Zdawało jej się, że śni! Jakto, ten list miałby być od Arnolda?! Od tego Arnolda, którego wczoraj jeszcze uważała za dziecko i brata? On się zdobył na podobne słowa? On jej wyznawał miłość — jej?!

Podniosła list, ktory wypadł z jej ręki i znowu czytać zaczęła.

„Panno Lolu! — pisał Arnold. — Układałem sobie, że pani powiem wszystko, ale nie mam odwagi — nie mogę — boję się odpowiedzi, któraby dla mnie była wyrokiem śmierci! — Ja panią kocham panno Lolu!... Nie mam nikogo na świecie, to też cię kocham całą miłością, jaka sieroce serce rozpiera! Jestem zbyt młody może, ale czyż koniecznie trzeba być pełnoletnim, by kochać?! Nie chcę być lekarzem. Nauka ta wiele kosztów i długiego czasu wymaga. Długoletni plan mój rzucam bez żalu. Udam się na wydział filozoficzny, to da chleb prędzej. Chleb ten i serce złożę u nóg twoich pani. Złączone sieroce dole zakwitną szczęścia kwiatem... Każde życzenie twoje będzie dla mnie wyrocznią!... Przez litość nie odtrącaj mię pani, nie odbieraj nadziei, która stała się dla mnie bodźcem do dalszej pracy i życia... — bez niej umrę, jeźli nie ciałem to duszą — sercem — umysłem!... Cóżem ja winien, żem młodszy od ciebie i ubogi! Gdybym miał skarby Naboba, złożyłbym je u nóg twoich — za więcej dziesięć lat wieku poświęciłbym wszystko! Lolu, ach! panno Lolu! przebacz i zlituj się nademną!“

Lola opuściła list na kolana i zamyśliła się głęboko.

— Biedny, kochany, poczciwy chłopiec — rzekła półgłosem — przez litość wmawia w siebie miłość dla mnie! szlachetne serce a szalona głowa! Ja i on! — i powstawszy nagle, stanęła przed źwierciadłem. — Ja i on! — powtórzyła wpatrując się w odbicie kryształu i śmiech głośny, gorżki, bolesny, wydarł się z jej piersi, a łzy obfitym strumieniem popłynęły po bladem licu.

Wkrótce jednak odzyskała zwykły spokój. Kawa stała nie nalana i stygła, a Lola z listem w ręku przeszła sień i zapukała do drzwi Arnolda.

— To ja, otwórz pan — rzekła, a gdy zobaczyła młodzieńca rozgorączkowanego, który jak winowajca stał ze spuszczonemi oczyma, podeszła do niego i podając mu rękę przyjaźnie: — Szalone dziecko! — przemówiła — nawet czyn najszlachetniejszy nie wolno nam okupywać kłamstwem! Chcesz — poświęcając siebie — swe życie pełne nadziei, przyszłości, związać się z pół-trupem moralnym i fizycznym, dla dania mi możności skosztowania chwil jaśniejszych, których dotąd nie zaznałam! A wieszże ty co to miłość, którą wmawiasz

w siebie? Ty uczucie li braterskie chrzcisz tem mianem! Jam stara wobec ciebie, a i dla mnie ono obce.. Był czas króciutki, w którym serce moje chyliło się ku temu uczuciu, ale nim się rozwinęło, postarano się by pierzchło, jak pierzchły wszystkie moje nadzieje.. Arnoldzie, mógłżeś mię posądzić o egoizm przyjęcia twej ofiary?

— To nie ofiara, to szczęście, o które panią błagam, o które panią proszę, o które modlę się do pani! — zawołał teraz śmiało młodzieniec, a prawda w oczach mu jaśniała. — Kocham cię Lolu, nie obawiam się teraz wyznać ci to głośno, w obec Boga, siebie, ciebie i świata całego! Dasz mi nadzieję złączenia losów naszych, odważnie stanę w zapasy z nauką i pracą; odbierzesz mi ją bez litości, nie rzeknę słowa, nie poskarżę się nawet, bo czuję, że w niedalekiej przyszłości nie wart już będę szczęścia, o które śmiem błagać! Pójdę i zmarnieję wśród obojętnego świata, nie mając przy sobie tej, która jedna jest mi drogą Opatrzności na ziemi. Od ciebie panno Lolu zależy uczynienie ze mnie człowieka! Czy chcesz brać na swe sumienie upadek jego?

Młody chłopiec mówił z zapałem lat dwudziestu. Słowa płynęły z ust jego pełne dźwięku i prawdy, oczy błyszczały niekłamanem w tej chwili uczuciem. Ugiął kolana przed tą, która siedziała zarumieniona w słodkiem jakiemś zachwyceniu i słuchała słów jego, jak się słucha melodji czarownej muzyki.

Więc i ją ktoś kochał! Więc i dla niej nadeszła jeszcze chwila, w której posłyszała słowa miłości, o których niegdyś śniła tak bosko! Kochał ją ten młody, ładny chłopiec, nie lękał się choroby dziedzicznej, kochał jej duszę czystą i serce nieskażone. Nie stawała mu więc na przeszkodzie zwiędła jej młodość?! — Pierś jej rozpierało pierwszy raz w życiu uczucie niewysłowionej roskoszy.

Podniosła oczy i spotkała się ze spojrzeniem młodzieńca, które badało myśli, snujące się po jej głowie.

— Lolu, ach! Lolu! uwierz w mą szczerą miłość! — szepnął i gorące usta przycisnął do jej ręki.

Godziny płynęły wśród wzajemnych przekonywań, a kto otrzymał zwycięztwo, przekona nas ostatni ustęp ich rozmowy:

— Nie mój Arnoldzie, nie, nigdy nie stanę zaporą twej przyszłości, i nie pozwolę, by zmarniały twe zdolności, nie pozwolę, byś poszedł inną drogą niż zamierzyłeś. Zgadzam się na złączenie naszych losów w przyszłości, ale pod warunkami, od których nie odstąpię ani na krok! Kapitalik dwóch tysięcy, który leży w kasie oszczędności, uznasz za swój i użyjesz na ukończenie studjów lekarskich. Pojedziesz do Wiednia, daleko odemnie, ale bez żadnych zobowiązań z swej strony. Gdy wrócisz jako skończony lekarz i na widok przeszło trzydziestoletniej kobiety, ty, dwudziestokilkoletni młodzieniec roześmiejesz się pierwszy na wspomnienie uczucia, którem dziś twe poczciwe serce dla mnie przejęte, ja ci szczerze zawtóruję w tym śmiechu, lecz zawsze zostanę twą niezmienną przyjaciółką i siostrą. Jeżeli zaś wrócisz i powtórzysz te same słowa i z tą samą prawdą w głosie, podam ci dłoń moją, jak w tej chwili to czynię, i stanę obok ciebie, by jako wierna towarzyszka pójść z tobą w dalszą drogę żywota, strzegąc szczęścia młodego życia, które mi powierzono. Dotąd niech nikt zupełnie nie wie o zawartem przymierzu. Naraziłoby to nas oboje na różnorodne uwagi, teraz i w przyszłości. Bądźmy narzeczonymi tylko w obliczu Boga. To są moje warunki, na które jeźli się zgadzasz, przyjmuję twe poświęcenie.

— Nie powtarzaj tego wyrazu, który mię drażni i boli! To nie poświęcenie, to szczęście, za które niech cię Bóg błogosławi Lolu! Biedny, ubogi sierota, pozbawiony nawet nazwiska ojca, choćby swe życie złożył u nóg twoich, choćby na klęczkach zawsze ci usługiwał, nie potrafi ci nagrodzić tej chwili! Niechaj ci więc Bóg nagrodzi, ja zaś twą wolę spełnię co do joty.

Blada dziewica pierwsza zbliżyła się do młodzieńca i na czole jego złożyła pocałunek.

— Jakikolwiek będzie koniec tego wszystkiego, pacałunek ten staje się przymierzem naszem, łączy on nas węzłem narzeczonych lub dozgonnych przyjaciół.

Dnia tego kawa piła się zaledwie o jedenastej, wśród wielkiego zgorszenia Elżbiety, która mruczała: że panna źle roli, przepraszając panicza. Jak się rozgniewał, to niech się sam przeprosi! Co mu kto złego zrobił! Dlatego, że już nie będzie chodził do szkoły, to ma stroić jakieś miny? i ktoby to się był po nim spodziewał! Taki był zawsze grzeczny i potulny. Ale dobrze to starsi ludzie powiadają: „Psu i mężczyźnie nigdy nie dowierzaj!“

Od tego dnia stosunek bratni dwojga młodych ludzi znacznie zmieniać się zaczął. Tak niedawno spokojna zawsze Lola, miewała chwile dziwnego niepokoju, rumieniec, gość dawno wygnany z jej twarzy, często ukazywał się teraz, oczy odnalazły blask swój z czasów jeszcze dziecinnych, uśmiech pozbył się bolu i goryczy, piosnka nawet czasami wybiegła z ust, nabierających barwy ciemniejszej. Wśród pracy ręcznej zadumała się nieraz głęboko i rumieniła się wśród tego dumania. Zalotność nieznana jej dotąd, kazała włosy staranniej zawijać i żałobną sukienkę modniej przystroić, a gdy znaleźli się sami jak zwykle, pierzchała gdzieś ich dawna swoboda. Mówili mało, nie patrzyli nawet na siebie, bo gdy się zetknęły ich spojrzenia, rumienili się oboje. Lola klękając wieczór do modlitwy, zamiast trumien i świec gorejących, widziała ciemne oczy Arnolda w siebie utkwione, zamiast dzwonów pogrzebowych i spiewu księży, słyszała rajską melodję słów: „kocham cię wiecznie!“

Zbliżyła się wreszcie chwila smutna, chwila pożegnania. Arnold odjeżdżał do Wiednia. Przy ostatniej wieczerzy odbiegł ich apetyt, oboje mieli łzy w oczach.

— Gdybyś słówko rzekła Lolu, jabym nie odjeżdżał! — rzekł cicho Arnold. — Co ja tam pocznę bez ciebie, samotny, rok cały, i to teraz, gdy nic mi do szczęścia nie brakuje! Lolu, panno Lolu, czy ja koniecznie, koniecznie muszę jechać?!

— Jedź, jedź Arnoldzie, ale nie zapomnij tam o mnie zupełnie! Jak tu smutno będzie bez ciebie... Och! gdybyś już prędko wrócił! — i łzy gwałtem wstrzymywane potoczyły się sznurkiem pereł po licu.

— Lolu, tyś mi ani razu nie powiedziała, że mię kochasz... nie jak przyjaciela i towarzysza... inaczej — jak ja ciebie! Lolu! mam więc odjechać bez tego słowa, którego dźwiękiem żyłbym w obczyźnie? — szepnął Arnold, obejmując miłośnie ramieniem kibić dziewicy. — Kochasz mię Lolu? kochasz?...

— Kocham, o! kocham! — była cicha odpowiedź i rozpłynęła się w gorącym pocałunku.

Na drugi dzień Arnold wyjechał.

Lola została sama, płacząca, smutna, lecz szczęśliwa wspomnieniem i nadzieją jaśniejszej przyszłości, o której i ona teraz roić mile zaczęła.

Koniec części pierwszej. (c. d. n.)

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XVIII.

W pierwszych chwilach po rozmowie z panem Rousseau, Armand odchodził prawie od przytomności, nie mogąc pozbierać w całość myśli chaotycznych, spiorunowany ciosem niespodziewanym, który w niego uderzył. Siedział przed biurkiem, nieruchomy, z okiem błędnem, wlepionem w zwój nieszczęsnych fascykułów, mających mu dopomódz do owej „pierwszej sprawy“, tak upragnionej, z taką gorączkową niecierpliwością wyczekiwanej, a która dziś taką trwogą śmiertelną serce jego napełniała.

Co robić? Jak rozstrzygnąć tę zawiłość? Wziąć na siebie obronę Jakóba Torquenié, znaczy tyle, co oskarzyć o morderstwo ojca Walentyny! Jeżeli wywlecze tę sprawę zastarzałą przed trybunał sprawiedliwości, będzie zmuszony wyrzec się miłości tej dziewicy, która była urzeczywistnieniem jego marzeń najsłodszych o szczęściu domowem, o błogiej, przy jej boku przyszłości. A jeżeli nie podejmie się rehabilitacji Jakóba, popełni czyn haniebny, stanie się niemal wspólnikiem zbrodni, dokonanej przez srogiego i ponurego pana na zamku d'Albray, obarczy na resztę życia, ciężką zgryzotą własne sumienie.

Ta myśl ani na chwilę w głowie jego nie postała, iż pan Rousseau mógł się również pomylić, a hrabina de Trameillan mogła być tak samo niewinną, jak i Marietta Torquenié. Nie próbował wcale zbijać faktów oczywistych. Prawda ma w sobie coś imponującego, co nam narzuca się mimo woli i chęci. List zresztą hrabiny, był tutaj decydującym i ciskał światło olśniewające, na cały bieg wypadków. Hrabia de Trameillan był więc owym skrytobójcą, a w dodatku tchórzem i łotrem nikczemnym, który, aby siebie zasłonić, zwalał na innego, niewinnego, ciężar zbrodni popełnionej, potrafił uwikłać podstępnie biednego Jakóba, w całą sieć intryg ciemnych i ohydnych.

Miał więc tylko dwie drogi przed sobą: wyrzec się Walentyny, zniszczyć szczęście własne, i złamać serce tej słodkiej, tak go czule kochającej dziewicy, lub też okryć się hańbą, w obec siebie samego jak i w obec reszty świata, rzucając na pastwę losu tego biedaka, który z całem zaufaniem w ręce się jego oddawał.

Walka była długą i bolesną, tak bolesną, iż łzy ciężkie, jak owe krople skałę drążące, spływały mu po twarzy jedna po drugiej. Poczucie honoru i obowiązku, zwyciężyło wreszcie miłość gorącą, mimo iż serce wychodziło z tej walki, głęboko zranione. Powstał blady śmiertelnie, ale na wszystko zdecydowany.

W Armandzie istne przemienienie nastąpiło. Nie był to już ten sam młodzieniaszek łagodny, o nic się nietroszczący, trochę rozpieszczony czułością podwójną

matki i narzeczonej, któremu dotąd te dwie miłości za cały świat starczyły, który marzył o życiu cichem, spokojnem, w ciasnem kółku ogniska domowego. Jak kwiat aloesu, za noc jedną wystrzela, tak i z niego zrobił się w kilku godzinach, mężczyzna energiczny, woli niezłomnej, którego piękna głowa z twarzą bladą, z oczami zapałem płonącemi, odbijała majestatycznie od tła ciemnego, na którem spoczywała. Boleść, pierwsza w życiu, i postanowienie niewzruszone, poświęcić wszystko, byle dopełnić świętego obowiązku, niby jasną aureolą męczenników, czoło jego wieńczyła. Poświęcał więcej niż życie. Czuł, iż na końcu drogi ciernistej, którą miał iść z własnej woli, znajdzie rozpacz dziką i zwątpienie, zabije może fizycznie, nie tylko moralnie istotę, nad życie własne ukochaną! A jednak przetrwa to wszystko i nie cofnie się przed niczem!

Przechadzał się czas jakiś po gabinecie z rękami na piersiach skrzyżowanemi, z głową spuszczoną, przemyśliwując, jakby mógł najłatwiej wykazać niewinność swojego klienta. Sposobem najprostszym, byłoby wymuszenie na panu de Tremeillan, jak i na jego wspólnikach w zbrodni popełnionej, zeznań szczerych i zupełnych. W rzędzie tych wspólników, stoi na czele Genowefa Tinnet! W to również wierzył święcie!

Błysnął mu ostatni promyk nadziei. Może hrabia, widząc fakta oczywiste, mogące zaprowadzić go przed kratki sądowe, znajdzie jakieś wyjście, aby honor swój ocalić?!

Bądź jak bądź, Armand bezwłocznie działać postanowił. Im boleśniejszą była ofiara, spełnić się mająca, tem bardziej trzeba było z nią pospieszać.

Utonął cały w głębokiej zadumie, gdy Babtysta na progu się pojawił, oświadczając, iż jakaś kobieta chce się widzieć z paniczem. (Poczciwy stary piastun Armanda, często jeszcze zapominał się, po dawnemu go nazywając).

— Któż to taki? — rzucił się młody adwokat niecierpliwie.

— Nie wiem proszę pana...

Babtysta wzruszył ramionami, i skrzywił się tak samo, jak dnia owego, kiedy mu zapowiadał Jakóba Torquenie.

— Dobrze!... schodzę natychmiast!... — skinął ręką adwokat.

W ogrodzie, nieopodal od domu, na ławeczce, spostrzegł młodą dziewczynę, której postać dziwnie go uderzyła. Miała na sobie lichą, czarną, wełnianą spodniczkę, za krótką i dołem całkiem wystrzępioną; takaż czarna chustka, zrudziała i podarta, na piersiach skrzyżowana, otaczała szczelnie jej kibić, zapewne aby ukryć brak kaftanika.

Włos gęsty, czarny, rozczochrany, służył za ramki twarzy bladej, o rysach dziwnie pięknych i regularnych. W źrenicach tak samo czarnych, rozwartych szeroko, palił się ogień ponury. Wzrok miał w sobie coś dzikiego, błędnego, a przytem niby lęk tajemny wyrażał.

— Czego pani sobie życzysz? — spytał Armand łagodnie, wpatrując się w dziewczynę z najwyższem zdziwieniem.

Ust nie otwierając, podała mu list jakiś i napowrót szybkim ruchem rękę pod chustkę schowała. Armand list otworzył, który kilka tylko wierszy zawierał:

„Panie!“

„Nie wystarcza zrehabilitować ojca w opinji, trzeba i jego dziecię jedyne ratować od nędzy, od upadku haniebnego! Spotkałem wczoraj tę nieszczęsną, żebrzącą na ulicy, głodną i zewsząd wytrącaną bez miłosierdzia! Do pana należy dopomódz jej, aby mogła zostać uczciwą dziewczyną i nie potrzebowała po jałmużnę ręki wyciągać.“ „Eugeniusz Rousseau.“

Armand nie mógł zrazu krwi zimnej odzyskać, taką był dla niego niespodzianką ten krótki bilecik. Pierwszą jego myślą było, iż pan Rousseau za wiele sobie z nim pozwala i postępuje bez wszelkiej ceremonji! Nie mile był tem dotknięty, iż człowiek, który w Rennes używał jak najgorszej reputacji, ośmiela się niemal do wydawania mu rozkazów i narzuca mu despotycznie coraz nowe powinności. Gdy jednak ochłonął cokolwiek, Armand musiał sam przyznać, że chociaż pan Rousseau obrał formę niewłaściwą, miał w końcu słuszność zupełną. Pan d'Arçay i hrabia de Trameillan... warjat i zbrodzień — jak ich nazywał dawny wygnaniec z surowością Spartanina, który nie umie słów obwijać w bawełnę — oddali to biedne dziecię na pastwę nędzy i hańby, zabierając jej ojca, skazując niewinnego na lata całe mąk piekielnych. Skoro raz przedsięwziął nagrodzić krzywdy, przez tych dwóch ludzi Jakóbowi wyrządzone, nie może zostać w pół drogi. Musi i córkę Jakóba osłonić tarczą swojej opieki, zapewnić jej uczciwe zarobkowanie, pocieszyć w ciężkiej niedoli i dopomódz — jak się wyraził p. Rousseau — żeby nie stoczyła się po niebezpiecznej pochyłości w otchłań bezwstydu, aby ojciec odszukał ją z czasem nieskalaną.

— Musiałaś pani wiele wycierpieć? — spytał ją słodko, bliżej przystępując.

Drgnęła, jakby iskrą elektryczną podrzucona. Wpatrywała się w młodego człowieka, z rodzajem obłąkania. Pierwszy raz w życiu, ktoś do niej przemawiał tak łagodnie, pierwszy raz ktoś się zdawał nią interesować. Wrażenie było tak gwałtowne, iż tchu jej w piersi zabrakło i tylko głuchem łkaniem odpowiedziała. Wreszcie dwa strumienie łez z oczu trysnęły i twarz w dłoniach ukryła.

— Skończyły się twoje cierpienia biedne dziecię! — Armand z wyrazem najwyższej litości, dotknął się z lekka jej głowy. — W tym domu znajdziesz pani (położył nacisk na ten tytuł) znajdziesz dobre słowo i zatrudnienie przyzwoite. Uspokój się i nabierz otuchy. Prześladują cię i znieważają, dla tego, że twój ojciec był na galerach, nieprawdaż?

Joanna znowu zadrgała, a z ócz jej strzeliła gniewu błyskawica, która rysom nadawała wyraz tak dziki i ponury.

— Mogę panią zapewnić, iż twój ojciec nieszczę-

śliwy, został niewinnie zasądzony — mówił dalej Armand. — Da Bóg! iż w bardzo krótkim czasie, cześć mu będzie wrócona, a wtedy ci sami, którzy tobie i jemu urągają, zawstydzeni, czoło przed wami uchylą.

Wpatrzyła się w niego, osłupiała, jakby uszom własnym uwierzyć nie chciała.

— Proszę tu na mnie chwilę zaczekać — wskazał jej ławeczkę uprzejmie. — Wrócę wkrótce, aby pani oznajmić, co myślimy i możemy dla ciebie uczynić.

Armand udał się wprost do pani d'Arçay, którą zastał w salonie, z jakąś robótką w ręku.

— Mateczko najdroższa! — przemówił czule, całując jej obie dłonie — przychodzę z prośbą wielką, żebyś mi raczyła dopomódz do....

— W czemże takim, mój synu? — spytała, ze zwykłym na jej ustach anielskim uśmiechem.

— Do spełnienia dobrego uczynku — dokończył.

— Mów tylko śmiało. Wiesz, że w takim wypadku pomagam ci zawsze najchętniej. O kogoż tu idzie?

— O młodą dziewczynę, bardzo nieszczęśliwą, którą dobroć twoja może od nędzy i hańby uratować.

W kilku słowach opowiedział historję Joanny, nie wymieniając jednak nazwiska właściwego. Nadmienił czem był jej ojciec i że wkrótce rozpocznie proces rehabilitacyjny w sprawie biedaka, tak ciężko, a tak niewinnie pokrzywdzonego. Prosił o ubranie stosowniejsze dla biednej dziewczyny, i o jaką robotę, której, tak samo jak jej ojciec, nigdzie dostać nie może. Wszędzie biją, męczą i krzywdzą dziewczynę nieszczęśliwą, ofiarę ludzkiej złości i przewrotności.

Nie potrzebował długo prosić. Pani d'Arçay miała serce złote, radaby była świat cały uszczęśliwić i widzieć w koło siebie same twarze swobodnie uśmiechnięte. Z zapałem szczerym, wzięła się do wykonania myśli, przez syna podsuniętej.

— Jest właśnie próżny pokoik w suterenach obok mojej pokojowej, poczciwej, starej Iwonki. Powiedz jej tylko słowo od siebie, wiesz jak cię oboje z Baptystą kochają. Bo też oboje na rękach cię wypiastowali. To nie słudzy, to przyjaciele! Polecisz jej zakupno rzeczy, które uznasz dla tej dziewczynki za stosowne. Nie lękaj się synu, jeżeli to tylko co poczciwego, będzie jej u nas jak najlepiej. A i ojciec biedny, będzie z niej miał pociechę, gdy za twoją pomocą, odzyska cześć wydartą mu tak niesprawiedliwie!

Armand poszedł prosto, do swojej poczciwej starej Iwonki, aby z nią naradzić się nad wszystkiem.

Nazajutrz rano, piękna, młoda dzieweczka, ubrana tak jak ogół dziewcząt w Bretanji, skromnie lecz schludnie, pracowała już z igiełką w ręku w jednem z okien pałacu od ogrodu, w pokoiku milutkim, czyściutkim, pełnym woni kwiatów w doniczkach, na oknie poustawianych. Nikt by był nie poznał w tej panience wykąpanej, z bujnym włosem, gładko uczesanym, z białą kryską na szyi giętkiej i całem obuwiem na nogach, owej cyganki rozczochranej, owej bosej włóczęgi, która nie dawniej jak wczoraj, drżącą rękę do przechodniów wyciągała, okryta zaledwie kilku nędznymi łachmanami. Ona sama uwierzyć nie mogła, że to nie sen błogi, tylko rzeczywistość, tylko prawda dotykalna. Od czasu do czasu spuszczała robotę na kolana i tak siedząc bez ruchu wpatrywała się okiem błędnem w drzewa wyniosłe i krzewy, pod jej okienkiem kwitnące.

Gdy stara Iwonka wymywszy ją jak małe dziecko w kąpieli, dała jej następnie czystą bieliznę i wprowadziła do pokoiku dla niej przeznaczonego, pokazując łóżeczko świeżo obleczone, z Matką Boską nad głową, palmą i gromnicą poświęcaną, Joanna znowu łzami się zalała, całując ręce i nogi zacnej staruszki.

Charakter i całe usposobienie Joanny Torquenié, nie należało wcale do codziennych i pospolitych. Dzika i nieokiełzana w wybuchach gniewu namiętnego, do czego doprowadzili ją prześladowaniem i uciskiem od lat dziecięcych, uchowała się jednak dotąd od upadku moralnego, od kału rozpusty, w który byłaby zabrnęła bez ratunku nie jedna dziewczyna w jej wieku, tak opuszczona, i w takiej nędzy od lat najmłodszych. Po śmierci matki, a wyroku, który ojca na lat dwadzieścia skazywał, oddano ją do jakiegoś Przytuliska dla sierót, gdzie wszczepiono jej jakie takie o Bogu pojęcie i szczere pracy zamiłowanie. Cóż, kiedy tam trzymano ją tylko do lat czternastu! Odtąd zaczęła się jej prawdziwa krwawa niedola. Tlała w niej iskra szlachetniejsza, jakieś poczucie godności osobistej, wstrzymujące jej kroki nad brzegiem przepaści, do której wszystko ją ciągnęło: głód, nędza, poniewierka, złe namowy, niecne kuszenia ze strony przełożonych w fabryce Bretton, i chuć samych-że współpracowników. Dotąd opędzała się im wszystkim, jak jeleń piękny i wspaniały, broni się przeciw sforze psów zażartych. Czyby tak mogło być atoli dłużej? W atmosferze cnoty, łagodności, otaczającej ją w domu pani d'Arçay, pryskały lody, któremi się było oszańcowało jej biedne, młode serduszko, przeciw ludzkiej złości i wszelakiej niegodziwości; pozbywała się powoli uporu i innych dzikich narowów, a w duszy jej zamiast srogiej nienawiści, zakwitła wdzięczność bez granic, dla zacnych istot, które się nią tak szczerze zajęły.

W dni kilka po Joanny zainstalowaniu, zobaczyła wyszedłszy na dziedziniec Armanda, wsiadającego do fajetonu. Pilno mu było rozmówić się stanowczo z hrabią de Trameillan, do czego się już był należycie przygotował.

Podbiegła ku niemu młoda dziewczyna, chcąc całą swoją wdzięczność wyrazić. Łzy atoli, głos jej od pierwszych słów stłumiły.

— Podziękuj pani mojej matce... ale, ale! — rzekł wahająco — chciałem prosić, żebyś przed nią nazwiska swojego nie wyjawiała... mogłoby to w jej sercu obudzić przykre wspomnienia.

Joanna wpatrzyła się w niego przenikliwie.

— Panie! — rzekła błagająco. — Gdzie jest mój biedny ojciec obecnie? Czy nie mogłabym się z nim zobaczyć?... Chciałabym mu upaść do nóg... prosić o przebaczenie... byłam tak złą dla niego!... Nie wiedziałam, że poszedł niewinnie na galery!... Myślałam, iż w rzeczy samej matkę mi zamordował... tyle zresztą i później przez niego wycierpiałam, żem go znienawidziła!... Dreszcz mnię bierze, gdy pomyślę com uczyniła!... Chciał mnie ująć w ramiona... do serca przycisnąć... a jam ojca odtrąciła!... jam mu śmiała złorzeczyć!...

— Za dni kilka pan Torquenié do Rennes przybędzie — odpowiedział Armand i wskoczywszy do powozu, popędził ku zamkowi d'Albray.

Młoda dziewczyna, która go czas jakiś wzrokiem odprowadzała, ani mogła się domyśleć, ile w tych kilku słowach, tak na pozór skromnych i spokojnych, mieściło się heroizmu i zaparcia samego siebie.

XIX.

Drogę niedaleką do zamku, w lot przebył pan d'Arçay. Konie znały ją dobrze i jakby instynktem zgadywały, że ich panu zawsze pilno się tam dostać; biegły zwykle galopem, przez całą milkę.

Zmrok jednak padał w aleji wjazdowej, gdy wjeżdżał w nią fajetonik Armanda. Rzucił lejce chłopcu stajennemu, który już czekał przed zamku kolumnadą, wiedząc, że go nie minie suty poczęstunek i sam poszedł prosto do salonu.

Za każdym krokiem, zdawało mu się, że serce mu pęknie z żalu. Postanowienie heroiczne, które powziął w chwili nerwowej ekscytacji, wydawało mu się teraz nad siły ludzkie. Jak znieść potrafi powitanie najukochańszej Walentyny, gdy jak zwykle poda mu obie rączki z czułością niewymowną i uśmiechnie się lubo, z całem zaufaniem? Tym razem radby był jej wcale nie zobaczyć. Jeżeli zastanie hrabiego samego, nie obejdzie się między nimi bez sceny gwałtownej, na nią jednak był przygotowany i wiedział, że wytrwa do końca. Gdyby tak atoli Walentyna porwała go pod ramię i zaczęła się z nim przechadzać, lub wciągnąwszy w głęboką niszę w oknie, rozpoczęła jedną z tych słodkich, odurzających pogadanek, snując projekta w nieskończoność, co do roskosznej przyszłości, która ich czeka, czy znajdzie wtedy dość odwagi, aby oprzeć się wdziękom czarodziejki? Czy miłosć szczera, pełna zapału, jaką tylko może odczuć nieskażone serce młodzieńca, nie weźmie wtedy góry, nad surowym obowiązkiem?

Gdy kamerdyner otwierał mu drzwi do salonu zawahał się na progu, oglądając w koło z trwogą niewypowiedzianą, z piersią bez tchu prawie. Nogi pod nim drżały, czuł się bliskim omdlenia. Na szczęście zobaczył tylko hrabiego w oknie, jak zwykle siedzącego w olbrzymim fotelu gotyckim, z dziennikiem na kolanach rozłożonym, z wzrokiem błądzącym gdzieś daleko, daleko!

Młody adwokat zdobył się na energję i krokiem śmiałym przeszedł salon. Hrabia pogrążony w zadumie głębokiej i ponurej, zdawał się go wcale nie uważać. Dopiero gdy stanął tuż obok fotelu, podniósł głowę leniwo, skinął nią chłodno, z pańska Armandowi, a potem wycedził przez zęby:

— Dać znać pannie hrabiance!

Odwrócił się ku oknu i jakby nikogo w salonie nie było, zapadł znowu w zadumę apatyczną.

Armand niemym ruchem wstrzymał służącego.

— Nie ma zupełnie potrzeby trudzić pannę Walentynę — rzekł ze spokojem lodowatym, głosem ostrym i stanowczym. — Przybyłem na bardzo krótko i tylko... aby rozmówić się z tobą panie hrabio... sam na sam.

Pan de Trameillan zmierzył mówiącego wzrokiem zimnym, niemal pogardliwym. Nie zważając na to Armand wziął krzesło i usiadł naprzeciw.

— Panie hrabio — zaczął — przybywam w sprawie nader ważnej. Wyłożę rzecz całą w kilku słowach. Mam bronić człowieka, który był skazany przed laty dwudziestu na galery, jak on twierdzi, najniewinniej! Znałeś go panie hrabio, nawet stawałeś jako świadek w owym procesie i świadczyłeś na korzyść obwinionego. Proszę usilnie, abyś raczył przypomnieć sobie wszystko dokładnie i powiedział mi, czy istotnie sprawiedliwość omyliła się w tym wypadku?

— Nazwisko tego człowieka? — spytał hrabia z wielko-pańską nonszalancją, czyszcząc tymczasem paznokcie, nożykiem złotym, do kartek przecinania.

— Jakób Torquenié!

Armand usiadł umyślnie plecyma do okna, aby ostatnie promienie słońca zachodzącego, padały wprost na postać hrabiego. Wpatrywał się w twarz jego badawczo, wymawiając te dwa słowa. Hrabia nie zadrgnął, ani jeden muszkuł nie ruszył się w twarzy.

— Tak... tak... coś sobie przypominam — machnął ręką lekceważąco — stare to dzieje kochany d'Arçay! Ma się rozumieć, iż biedaczysko był winnym! ani na chwilę nie wątpiliśmy o tem! Historja ta szczerze mię zmartwiła. Był to zresztą chłopak uczciwy i służbista co się zowie.

— Myślisz więc panie hrabio, że ten człowiek w rzeczy samej podwójną zbrodnię popełnił?

— Zapewne... Zresztą sam się przyznał przecież! Wszak to nawet pański ojciec wymógł na nim wyznanie? No! a radca nieboszszyk był mistrzem nielada w swojej sztuce! Co za myśl dzika grzebać w tych szpargałach zapleśniałych?! Życzę ci kochany d'Arçay, porzuć tę sprawę czemprędzej! Zapowiadam ci, że ją przegrasz najniezawodniej.

— Mojem zdaniem, rzecz się ma zupełnie inaczej! — Armand odrzucił ze spokojem uroczystym. — Torquenié opuścił galery przed kilkoma tygodniami. Nie chce żyć dłużej pod takim obuchem. Żąda aby mu wrócono cześć wydartą niesprawiedliwie, aby nazwisko

jego pozbyło się piętna hańby niezasłużonej, a żąda z dziką energją. Utrzymuje, iż posiada dokumenta świadczące dobitnie o jego niewinności, których dotąd nie przedstawił przez wzgląd na rodzinę wysoko w kraju położoną. Teraz atoli, po tylu latach cierpień, wrócił zgorzkniały i podrażniony, powiada, że nie cofnie się przed niczem, byle otrzymać zadośćuczynienie. A trzyma w rękach straszliwe tajemnice!...

Armand urwał, a po chwili dodał tonem obojętnym:

— Nie idzie mi wreszcie tak bardzo o tę sprawę, skoro pan hrabia uważasz ją naprzód za straconą. Powiem zatem Jakóbowi Torquenié, aby udał się do innego z moich kolegów i jemu wyjawił to wszystko. o czem wie najdokładniej.

Hrabia spojrzał na Armanda wzrokiem zimnym i jak ostrze stali przenikającym. Zdawało się, iż chce wysondować myśli najskrytsze młodego człowieka. Tak przynajmniej wytłumaczył sobie adwokat ten rzut oka przelotny.

— Wiesz pan co? — wycedził hrabia, z tonu by najmniej nie spuszczając. — Zanim tak czy siak sprawą pokierujesz, przyszlij mi Jakóba. Wybadam go, wynicuję na wszystkie strony i ręczę, że po tej rozmowie nie będzie się śmiał upominać o niewinność urojoną... Znam niektóre tajne szczegóły...

Hrabia niedokończył, zapadając w zwykłe u niego milczenie apatyczne.

Armand jednak mówił dalej. Pilno mu było doprowadzić rozmowę do punktu kulminacyjnego.

— A ja panie hrabio miałem w ręku dowody tak przekonywające, iż niewinność Torquenié'go świeci dla mnie blaskiem tak jasnym, jak słońce w godzinie południowej. Utrzymywano, iż zamordował pana de Mortrée z zazdrości o żonę. Wiem atoli, że twierdzenie było z gruntu fałszywe... hrabia de Mortrée miał wprawdzie kochankę... ale nią nie była nigdy Marietta Torquenié...

Hrabia zerwał się na równe nogi jakby podminowany. Przeszedł się po salonie krokiem nierównym, nerwowym. Stanął wreszcie przed Armandem, zmierzył go wzrokiem ponurym i spytał głucho, siląc się nadaremnie aby spokój udawać.

— I cóż dalej? — głos mu drżał i łamał się co chwila. — Cóż dalej? — powtórzył tonem impertynenckim. — Nie żenuj się pan bynajmniej, powiedz wszystko o czem jesteś tak dokładnie poinformowany!... Któż tedy był ową kochanką hrabiego de Mortrée?

Armand zawahał się. W oczach hrabiego tyle było jednak dumy szatańskiej i niemal pogardy, iż o krok bliżej postąpiwszy rzekł głosem donośnym:

— Była nią hrabina de Trameillan, żona pańska.

Starzec nie zachwiał się pod ciosem piorunującym. Twarz mu tylko zbladła cokolwiek, a w oczach zaświecił błysk ponury.

— Muszę dokończyć, skoro raz zacząłem — przemówił Armand szybko, niedopuszczając do słowa hrabiego. — Czytałem list pani hrabiny, pisany do hrabiego de Mortrée i ten mi całą prawdę wyświecił. Jakób nie miał żadnego powodu, popełniać tę zbrodnię podwójną. Skrytobójcą — i tę zagadkę rozwiązał mi list hrabiny — nie mógł być kto inny, tylko ty panie hrabio!

— Ah! raczyłeś się pan tego domyśleć? — odrzucił hrabia tonem gromkim, niby ryk grzmotu daleki, który burzę straszliwą zapowiada.

— Czy jeszcze życzysz sobie panie hrabio, abym porzucił tę sprawę, oddając ją w ręce innego adwokata?

Twarz hrabiego pozieleniała. Spuścił w dół oczy, jakby szukał w posadzce miejsca, na którem by mógł wzrok zatrzymać. Zdecydował się widocznie na krok stanowczy. Wyprostował się dumnie i przemówił tonem pańskim, który mu był wrodzonym:

— Przypuśćmy wreszcie, że tak było! Jeżeli Mortrée dotknął mnię istotnie w tem, co mi było najdroższem, jeżeli skrzywdził mnię haniebnie na czci, na honorze, któżby śmiał mnię potępić, żem szukał zemsty i... zamordowałem złodzieja nikczemnego!...

— Zapewne... ten czyn możeby nawet panu darowano... ale tyś skazał na śmierć młodą kobietę, aby tylko sobie zapewnić bezkarność, aleś wysłał na galery człowieka niewinnego!..

Hrabia drgnął po raz pierwszy i głowę odwrócił. Upadł następnie w fotel jak stary dąb podcięty, zapadając w odrętwienie, w zadumę ponurą, w której tak często widział go Armand.

Młody człowiek umiał sobie teraz wytłumaczyć usposobienie ponure i milczące hrabiego. Zgryzoty sumienia tak starca przygnębiły, chwili spokoju mu nie zostawiając.

— Powtarzam panu! — hrabia znowu się odezwał tonem urywanym, niecierpliwym — przyszlij do mnie Jakóba. Już ja z nim dam sobie radę. Wszystko się jakoś ułoży... Dam mu zresztą pieniędzy... ile zechce!... Ten list! ten list! kto ci go wręczył?... masz go pan przy sobie?... proszę mi go oddać!... Tak jest... jakeś zgadywał!... — hrabiemu tchu w piersiach brakowało — hrabina de Trameillan zapomniała się... zdradziła niegodnie moje zaufanie i... zabiłem jej kochanka!... Spodziewam się jednak, iż mając wkrótce zaślubić moją córkę, postarasz się pan umorzyć czemprędzej, tę sprawę nieszczęsną?... Oddaj mi list!... ten list!... koniecznie!

— Widzę ze smutkiem panie hrabio — Armand potrząsł głową — żeś mnię zupełnie nie zrozumiał. Torquenié nie chce i nie przyjmie pieniędzy; on żąda aby mu cześć wrócono, którąś mu pan wydarł podstępnie. Przysiągłem, że użyję po temu wszelkich środków, i dotrzymam przysięgi! Nie będę pańskim wspólnikiem... Będę raczej pańskim oskarzycielem... Ubóstwiam pańską córkę, marzeniem mojem najmilszem było nazwać ją żoną; Bóg mi świadkiem, iż wolałbym umrzeć, niż ją utracić... Jest jednak coś w mojej duszy wyższego nawet nad miłość moją... honor panie hrabio, i poczucie obowiązku. Stałem się niejako od-

powiedzialnym za pańską zbrodnię. Sam mi przed chwilą przypomniałeś, iż mój ojciec nieszczęśliwy prowadził śledztwo z Jakóbem Torquenié. Już wtedy umysł jego nie był trzeźwym, już w mózgu nurtowały zarody choroby straszliwej, która miała go wkrótce zabić duchowo, na lat piętnaście przed śmiercią fizyczną! Biedny fiksat uczepił się więźnia z uporem szalonym, i póty męczył obwinionego niesłusznie, póki na niewinnym nie wymusił zeznań fałszywych!... Czyś pan zrozumiał nareszcie, jaki na mnie cięży obowiązek?... Przysięgam ci hrabio, że go spełnię uczciwie!

I dodał, z krzesła powstawszy:

— Żegnam cię panie hrabio... zostawiając noc całą do namysłu. Jutro rano czekać będę w mojem biurze na pańskę decyzję.

Skłonił się i wyszedł, a hrabia nie ruszył się z miejsca.

W chwilę później, lekki powozik Armanda znikał w cieniu ponurej aleji zamkowej.

Starzec głowę podniósł i szyję wyciągnął, jakby słuchał kół turkotu. Gdy wkrótce wszystko ucichło, zerwał się gwałtownie z fotelu. Uczucia, które tłumił w sobie podczas rozmowy z Armandem, wybuchnęły teraz z siłą podwójną. Przemierzał salon krokiem szybkim, z energją młodzieńczą prawie. Giesta hrabiego były dzikie. Wyrzucał potok słów i wykrzykników bezładnych, z ust sinych i drgających kurczowo. Teraz można było poznać, czem był za młodu, ten fiksat na punkcie zasad politycznych, ten dziwak egzaltowany w jednym kierunku, a bez litości dla swoich najbliższych, który był przyczyną srogich cierpień biednej swojej żony, który zgubił ją na duszy i na ciele.

Od lat dwudziestu, po spełnieniu tylu zbrodni z krwią najzimniejszą, usposobienie hrabiego de Trameillan podpadło zmianie olbrzymiej. Nie wybuchał już gniewem zapamiętałym jak niegdyś. Cała dawna bujność zuchwała objawiała się obecnie milczeniem ponurem, odrętwiałością apatyczną. Żył w sobie zamknięty, czując może w sercu zgryzotę sumienia bezustanną, chyląc czoło pod ciężarem trwogi tajemnej.

I oto po latach dwudziestu, ten wyrzut, piekący go i głęboko na dnie serca ukryty, ubiera się w ciało człowieka żyjącego, i oto ten człowiek, śmie go publicznie oskarżać! Widma przeszłości, które mu sen zabierały i dni spokój mąciły, powstają z grobu, aby świadczyć przeciw niemu! To co myślał, iż na wieki z umarłymi pogrzebane, podnosi się nagle i grozi mu niby hydra stugłowa! Zdało mu się, iż przespał snem ciężkim tych lat dwadzieścia, a dziś budzi go dłoń sprawiedliwości, żądając rachunku ze zbrodni popełnionych.

Po trwodze szalonej, dziecinnej, która krew mu w żyłach mroziła, następowała dzika reakcja, bunt przeciw tej zmorze duszącej! Wydawał ryki lwa rannego i rozjuszonego, żałował, iż był na tyle słabym, żeby oddać w ręce Armanda straszliwą tajemnicę, zamiast rzucić się na zuchwalca, i ubić na miejscu, jak gadzinę jadowitą! Gniew miotał nim wściekły. Jakto! Ten Torquenié, ten plebejusz, ośmielił się przeżyć lat dwadzieścia na galerach na to tylko, aby wyszedłszy, oskarzyć jego! hrabiego de Trameillan! Czyż nie było to prawem odwiecznem, żeby słudzy i wasale płacili choćby życiem za pana i władcę ich samodzielnego? Pamięć jego karmiona przesądami i ekscesami najróżnorodniejszymi z czasów feodalnych, snuła roskoszne obrazy owego poddaństwa, kiedy to żadnej ceremonji nie robiono! kiedy wasal był rzeczą do pana wyłącznie należącą, a nie człowiekiem na podobieństwo Boga stworzonym, kiedy należał do władcy swojego z duszą i z ciałem, kiedy musiał poświęcać bez szemrania chuciom dzikim pana swojego cześć żony, córki, lub siostry własnej. Szarpał się hrabia i oburzał w gniewie bezsilnym, jak dziecię rozkapryszone, na fatalny bieg wypadków, na prawodawców niegodziwych, którzy dopuścili się tak haniebnego przewrotu w społeczeństwie!

Nagle, jakby myśl zbawcza, rozjaśniła przed nim ciemności, jakby nad brzegiem otchłani, mającej go pochłonąć, ujrzał rękę wyciągniętą, aby go uratować, rzucił się do taśmy, i zadzwonił gwałtownie.

— Poprosić natychmiast do mnie pannę hrabiankę!— rozkazał tonem ostrym, nadbiegającemu służącemu.

Upadł znowu na fotel i starał się cokolwiek uspokoić burzę w piersiach wrzącą. Gdy Walentyna weszła, piękna, jasna i jak zwykle słodko uśmiechnięta, hrabia de Trameillan zapadł już był w zadumę ponurą, w odrętwienie, jakby mu wszystko w świecie było obojętnem, jakby go nic przed chwilą nie spotkało nadzwyczajnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

V.

Noc się zbliżała, gdy powóz pocztowy, który przybywał z Auxerre przez Courson, wjechał z hałasem do Coulanges, przejechał to małe miasteczko nie zatrzymując się i wjechał w aleję starych lip, które prowadziły do Planche-Mibray.

Kobieta jakaś i dwoje dziewczątek jechały w tym powozie.

Była to pani de Villemur i jej dzieci. Wdowa puściła się w drogę na prośbę naglącą baronowej, która, jak wiemy, pisała do swej przyjaciółki, zaklinając ją, aby przyjechała do Planche-Mibray na te dwa miesiące przed ukończeniem żałoby.

Wyjechała z Paryża, przekonana, że jedzie radować się szczęściem swej przyjaciółki. W Auxerre dopiero dowiedziała się o tym strasznym wypadku.

I pani Villemur, która należała do rzędu tych kobiet silnych, które są aniołami opiekuńczemi w chwilach boleści, nakazała furmanowi jechać spieszniej.

Gdy powóz wjechał w podwórzec zamkowy, stary sługa — lokaj nieboszczyka barona — przybiegł, a poznawszy panią Villemur, rzekł:

— Pani moja oczekuje panią z niecierpliwością. Co chwila pyta się o panią.

Pani Villemur wysiadła z powozu, wzięła dziewczątka za ręce i poszła za starym sługą.

O ósmej godzinie wieczór, ten zamek dziedziczny de Planche-Mibray, zdawał się jakiś poważny, uroczysty, prawie ponury. Zdawało się, jakgdyby to nowe nieszczęście, które dotknęło stare domostwo, pokryło, jakby czarną krepą, wszystkie drzewa w parku, wieżyczki, dach i posągi marmurowe, rozrzucone w ogrodzie.

Ta wielka sień, której ściany zawieszone były starą zbroją i trofeami z polowania, wydała się pani Villemur jeszcze bardziej ponura jak zwykle.

Dziewczątka tuliły się do matki z jakimś dziwnym przestrachem, gdy odgłos kroków ciężkich służącego rozległ się na płytach kamiennych tej sieni, wzbudzając echa ponure.

Nareszcie otworzył on na rozcież drzwi w głębi, od wielkiego salonu, zapowiadając panią Villemur.

Pani de Planche-Mibray, ubrana w ciężką żałobę, wstała od kominka, przy którym siedziała. Straszna i przerażająca w swej boleści, zbliżyła się do pani Villemur krokiem pewnym i spokojnym, podała jej rękę, nie rzekłszy ani słowa i poprowadziła za sobą do kominka. Potem uściskała dziewczynki z rodzajem tkliwości gorączkowej. Nie płakała i nie wyrzekła dotychczas ani słowa.

Twarz jej smagła pożółkła tylko trochę, usta pobielały, a oczy ciemno szafirowe błyszczały ponuro.

Przeszło godzinę mówiła tylko półsłówkami, unikając starannie imienia tego, który przepełniał całe jej serce. Zajęła się dziećmi, które pieściła czule i dziękowała pani Villemur, że przyjechała. Nareszcie rzekła:

— Idź droga przyjaciółko uspić twoje aniołki i wracaj; pomówimy jeszcze.

Wkrótce potem, pani Villemur przestraszona tą boleścią ponurą, powróciła do salonu. Pani de Planche-Mibray wzięła ją za rękę i głosem znękanym szepnęła:

— I on umarł!

— Ależ moja droga — mówiła pani Villemur drżąc — któż wie... może... zdaje mi się, mówiono mi... że... dotąd... nie odnaleziono... jego ciała...

— Umarł! — powtórzyła baronowa z przekonaniem — umarł zamordowany!

— Ale... przez kogo?

Zapytanie to było jakby iskrą, która padła na beczkę prochu. Pani de Planche-Mibray podniosła się blada, groźna, straszna.

— Przez kogo? — zawołała — i ty mię pytasz przez kogo?! Czyż się nie domyślasz?!

Pani Villemur przyszedł na myśl Leon de Villenave, ale nic nie powiedziała. Baronowa mówiła dalej:

— O! przez tych ludzi, którzy mię ścigają, przez tych cyganów, którzy mówią, że do nich należę!

— Tak sądzisz?! — szepnęła pani Villemur przerażona.

— I mają słuszność — ciągnęła dalej pani de Planche-Mibray, wstrząsnąwszy głową, a oczy błyszczały jej dziwnie — mają słuszność, że mówią, iż jestem cyganką! Wątpiłam z początku, teraz nie wątpię więcej! Z początku ukorzona przed tą Opatrznością nieubłaganą, która mię dotknęła, sądziłam, że zniosę to z rezygnacją. Szalona w boleści, chciałam uciąć włosy, posypać głowę popiołem, zagrzebać się w klasztorze i czekać cierpliwie, aż Bóg mię powoła, abym się połączyła z moim najdroższym. Ale nagle krew cygańska, która płynie w moich żyłach, zaczęła wrzeć najpierw głucho, potem coraz gwałtowniej, i słowo „zemsta“ rozogniło me usta, spaliło serce, zgasiło miłość! — Jestem cyganką! — To znaczy, że kobieta światowa, chrześcijanka, nie istnieje już we mnie! Krew wschodnia mówi mi głośniej, jak ta cywilizacja kłamliwa, w pośród której żyłam dotąd. Chcę się zemścić! Muszę mieć życie tych ludzi, którzy zabili Manuela, muszę je mieć!

W istocie pani de Planche-Mibray mówiąc to, była prawdziwą cyganką, a pani Villemur patrzyła na nią przerażona.

— Ale — odważyła się zapytać — czy znasz jaki dowód, wskazówkę!

— A bicie mego serca? — odpowiedziała baronowa z wyrazem dzikiej nienawiści.

— A więc oskarżasz tego człowieka?

— Tak.

— Fanfreluche'a galernika?

— Nie — odrzekła baronowa — to tamten, ten drugi.

— Munito?

— O! jestem pewną!

I pani de Planche-Mibray chodziła szybko po salonie krokiem gorączkowym, zatrzymując się czasem raptownie i wpatrując w portret pana de Planche-Mibray, który wisiał między oknami, jakgdyby pytała raz jeszcze o radę i opiekę nieboszczyka.

Pani Villemur szanowała tę boleść swej przyjaciółki, która objawiała się teraz przez uniesienie tak gwałtowne. Nagle baronowa stanęła przed nią mówiąc:

— Tak, to Munito kuglarz, Munito cygan... To nędznik, który był powodem śmierci mojej matki... Muszę więc mieć krew za krew!

— Więc ten człowiek jest tutaj? - zawołała pani Villemur.

Na to zapytanie baronowa drgnęła, i nagle zniżając głos dodała z cicha, a dreszcz konwulsyjny przeszedł ją całą:

— Słuchaj!

I nachyliwszy się nad panią Villemur — jakgdyby się obawiała, żeby mury tej olbrzymiej sali nie miały uszów niedyskretnych — mówiła:

— Słuchaj, tak jak ty myślałam, że mordercą jest Fanfreluche. Oskarżonego przyprowadzono do mnie. Prosił aby mu pozwolono pomówić ze mną na osobności i dowiódł mi, że nienależał do zbrodni.

— Ale czy ci powiedział, że zabójcą jest Munito?

— Nie.

I baronowa zniżając głos jeszcze bardziej, dodała wskazując ręką:

— Widzisz to okno, nieprawdaż?

— Tak.

— Dwa dni temu siedziałam przy tem oknie. Przedemną stał stolik i lampa na nim. Nagle uczułam jakgdyby coś palącego zaciężyło namnie. Podniosłam głowę i spojrzałam na ogród. Okno było otwarte. W klombie drzew dwoje ócz błyszczało wyraźnie i wpatrywało się we mnie, jakgdyby oczy szakala, hijeny lub wilka. Krzyknęłam. Na ten krzyk człowiek jakiś zaczął uciekać. Zaczęłam dzwonić gwałtownie. Zwołałam wszystkie sługi. Dozorcy i ogrodnicy uzbrojeni w strzelby szukali po całym parku. Coś mi mówiło, że widziałam mordercę Manuela. Przetrząśnięto ogród, park i winnice obok. Całą noc ludzie moi byli na nogach, a ja powtarzałam ciągle: Strzelajcie, strzelajcie do niego, jak do bydlęcia! Nie znaleziono jednak nikogo, nawet śladu kroków, gdy dzień się zrobił. Kazałam uwiadomić żandarmerję; robiono rewizję wszędzie, ale nic nie znaleziono. A jednakże nocy następnej o tej samej godzinie, te same oczy widziałam znów w cieniu, i człowiek jakiś uciekł znowu. Tym człowiekiem był Munito. On tylko jeden ma taki wzrok. Żandarmerja i moi ludzie utrzymują, że mam przywidzenia, ale ja wiem dobrze i przeczuwam, żem jego widziała...

Pani de Planche-Mibray była strasznie rozgorączkowana. Pani Villemur daremnie starała się ją uspokoić. Biedna kobieta marzyła o zemście, potrzebowała krwi cygana Munita. I reszta wieczoru przeszła w cichości. Potem nastąpił przewrót zwykły u ludzi mocno rozirytowanych, rodzaj omdlenia po szalonym gniewie i ubezwładnienie zupełne; i pierwszy raz od pięciu dni poczęła rzewnie płakać. Nareszcie podając rękę przyjaciółce rzekła:

— Dobranoc ci droga, idź do dzieci. Potrzebuję być sama, teraz gdy mogę się wypłakać.

. . . .

I została sama w tym obszernym, smutnym salonie, którego ściany pokryte były portretami familijnymi. Siedząc w oknie otwartem, patrzyła w ogród.

Coś jej mówiło, że jeszcze obaczy te dwoje ócz świecących, jak węgle żarzące. Nagle myśl szalona wskutek rozgorączkowania powstała jej w głowie. W kącie salonu stała dubeltówka nabita, którą ogrodnik zostawił nocy zeszłej. Baronowa chwyciła ją, zgasiła lampę i powróciła do okna, szepcząc do siebie:

— Sama pomszczę Manuela!

I w cieniu czekała.

Nie płakała już, serce biło jej spokojnie, a zimna krew cyganki powróciła.

Godzina upłynęła. Nagle baronowa drgnęła. Zdawało jej się, że słyszy szelest liści.

Czy ptak nocny przeleciał? Czy królik przebiegł koło krzaków z szybkością kuli? Czy też człowiek jaki skradał się do okna?

Pani de Planche-Mibray nieporuszona, wstrzymywała oddech. Nagle w klombie dwoje ócz zaświeciło dziwnym blaskiem. Musiały to być oczy Munita, bo baronowa podniosła strzelbę i mierzyła z zimną krwią doświadczonego strzelca...

VI.

W tej chwili krew cygańska w baronowej wrzała głośno, serce jej biło gwałtownie, a jednakże zimna jej krew była tak wielką, że chwilę oczy te błyszczały pod wymierzoną strzelbą.

Mierzyła z spokojem w człowieka, strzelającego do tarczy. W tejże samej chwili palec jej cisnął zwolna cyngiel. Strzeliła.

Oczy świecące zgasły.

Baronowa pociągła drugi cyngiel nowy wystrzał dał się słyszeć, któremu wtórował krzyk boleści. Potem nastała grobowa cisza.

Czyżby zabiła Munita?

Stała nieporuszona z bronią zabójczą w ręku, pot kroplisty spływał jej z czoła, a oczy zdawały się nieprzytomne.

Odgłos tych dwóch wystrzałów, rozlegający się w ciszy nocnej, poruszył cały zamek. Sługi zbiegły się, a z niemi pani Villemur, która jeszcze nie spała. Zastali baronowę stojącą koło okna, z ręką wyciągniętą na ogród. Oczy jej błyszczały; była blada i drżąca.

— Tam, tam! — wołała — strzeliłam... musiałam go zabić... szukajcie!...

Salon będący na dole, miał drzwi prosto na balkon, zkąd trzema schodkami schodziło się do ogrodu. Stary lokaj pana de Planche-Mibray, z strzelbą w jednej ręce a pochodnią w drugiej, rzucił się pierwszy. Drudzy pobiegli za nim.

Przez ten czas pani Villemur przestraszona, trzymała w objęciach panią de Planche-Mibray, która podobną była do widma.

Wszyscy pobiegli prosto do klombu wskazanego przez baronowę. Przeszukano go z pochodniami, ale nie naleziono nikogo. Tylko gdzieniegdzie na piasku białym, były ślady krwi, i liście drzew, z których niektóre gałązki świadczyły o przejściu człowieka, były również skropione krwią.

Wtedy rozpoczęło się w parku prawdziwe polowanie z pochodniami. Pani de Planche-Mibray odzyskała znowu dziką energję, i wyrywając się z objęć pani Villemur, która starała się ją zatrzymać, pobiegła do ogrodu. Żadnego krzaczka nie było w parku, któregoby nie przetrząśnięto. Jednakże nigdzie nie odnaleziono Munita.

Wtedy jeden z strażników wpadł na szczególną myśl, i pobiegł do psiarni poszukać starego ogara, który był najlepszym psem gończym pana de Planche-Mibray. I przyprowadził go do miejsca w którym piasek był zbryzgany krwią, mówiąc mu:

— Szukaj Ravageot, szukaj dobrze!

Pies zaczął szczekać, zdawał się wietrzyć ślad i puścił się naprzód, jednakże nie w prostej linji, ale kręcąc się i zwracając, jakgdyby gonił prawdziwą zwierzynę, a nie człowieka.

Widocznie człowiek, do którego baronowa strzeli a, wlókł się z krzaku do krzaku, jak zając raniony stara się ukryć przed psami.

Ravageot gonił i naszczekiwał coraz bardziej, a strażnicy i sługi z strzelbami przygotowanemi dostrza i postępowali za nim. Przybiegł tak aż do wyłomu w parku do tego samego, przez który niegdyś umknął Fanfreluche, galernik. Pies wybiegł przez ten wyłom a wszyscy zanim.

Puścił się do winnic, które były obok parku, potem wrócił znowu do wyłomu. Widocznie ranny wyszedłszy z parku, powrócił tam napowrót.

Tu pies zdawał się zgubić ślad, bo chociaż biegał z winnic do wyłomu, a z wyłomu do winnic, nie mógł odwikłać kłębka ucieczki, którą ten szczególny zwierz namotał.

I tu zmyliwszy się mimo widocznych wysileń i zachęcań strażników, nie mógł już śladu odnaleźć. Po dwugodzinnych poszukiwaniach nie odnaleziono nic jeszcze.

— Ja — rzekł jeden ze strażników — jestem pewny, że on umarł. Wydrapał się na drzewo i tam się zatrzymał. Jutro, po dniu, znajdziemy go.

Pani de Planche-Mibray złamana tem wszystkiem, kazała się służbie rozejść. Powrócono do zamku, gdzie pani Villemur czekała w największej niespokojności.

Co do baronowej, to energja, która ją dotąd podtrzymywała, znikła bezpowrotnie. Roznerwowana zemdlała i trzeba ją było zanieść do jej pokoju na pierwsze piętro.

Podczas gdy ją trzeźwiono i przychodziła powoli do siebie, stary lokaj uzbrajał wszystkich domowników, stawiał straż przy każdych drzwiach, przy każdem oknie na dole. Chciał nawet sam zostać w przedpokoju pani de Planche-Mibray. Ale ta, powróciwszy do przytomności, sprzeciwiła się temu. Nie chciała nawet, żeby pani Villemur została przy niej.

Było już przeszło po drugiej nad ranem, gdy baronowa, wzruszona i znękana — będąc prawie pewną, że p. de Maugeville został pomszczonym — rzuciła się na łóżko. I po raz pierwszy od ośmiu dni uczuła się senną, a jakieś nieprzezwyciężone otrętwienie ogarnęło ją całą. Oczy jej się zamknęły, a jednak nie spała.

Słyszała uderzenie każdego kwadransa na zegarze wielkim w przedpokoju, i jakiś przestrach nieokreślony opanowywał ją w miarę, jak godziny uderzały.

Nagle zdawało się jej, że drzwi się otwierają, że ktoś stąpa po dywanie, a oddech gorący pali jej twarz. Z największem wysileniem otwarła oczy, ale włosy powstały jej na głowie...

Człowiek jakiś stał przed nią.

Chciała krzyczeć, ale głos zamarł jej w piersiach. Chciała się cofnąć, przysunąć do ściany, ale była bezwładną i jak sparaliżowana przestrachem.

Człowiek ten, który stał przed jej łóżkiem miał czoło obwiązane chustką białą, zakrwawioną. Człowiekiem tym był Munito.

Śmiał się on śmiechem ponurym, a oczy jego, do których mierzyła baronowa, błyszczały jak węgle żarzące.

— Strzelasz dobrze — mówił — mierzysz doskonale, ale Bóg cyganów, opiekuje się swemi dziećmi. Nie umarłem, jak widzisz...

Baronowa ręką strętwiałą starała się schwycić taśmę od dzwonka wiszącą, nad łóżkiem, lecz on chwycił ją za rękę, a pokazując sztylet który trzymał w ręce, zawołał:

— Jeżeli zadzwonisz lub krzykniesz, przebiję cię!...

Instynkt wrodzony chęci życia zwyciężył. Pani de Planche-Mibray nie otworzyła ust nawet; ręka jej bezwładna upadła na łóżko.

— Nie zrobię ci nic złego — mówił Munito — ale musisz mię wysłuchać. — I wziąwszy ją na ręce posadził w fotelu, który stał niedaleko.

Dziwny urok, jaki wywierał zawsze ten człowiek na nią, nie był może nigdy tak silny, jak w tej chwili.

— Musisz mię wysłuchać — powtórzył — musisz koniecznie!

A ona siedziała drżąca i bezwładna pod czarem jego wzroku. Godzina energji przeszła u baronowej; cyganka znikła.

Munito trzymał ciągle sztylet w ręce.

— Kocham cię — mówił — i dlatego tu jestem... dlatego zabiłbym cię, gdybyś wołała o pomoc... gdybyś na nieszczęście krzyknęła...

Baronowa bezprzytomna patrzyła na niego, jak ptak oczarowany wzrokiem bazyliszka. Munito mówił dalej:

— Patrz na mnie! Jestem Munito, dziecko puszczy, cygan, człowiek bez wiary i prawa, ale kocham cię!... Kocham cię sercem pełnem burz i uniesień, kocham cię jak dziki, jakim jestem!.. Kocham cię nie dla twego majątku, nie dla twego imienia... nie należę do tych pięknych elegantów, którzy przejeżdżają się w lasku i uganiają na wyścigach, nie jestem szlachcicem, jestem cyganem, a kocham cię, bo jesteś córką naszego plemienia... i przysiągłem sobie, że będziesz moją!... Nie szukaj zabójcy Maugeville'a; nie oskarzaj cygana Fanfreluche. Zabójcą Maugeville'a jestem ja!... Upoiłem się jego krwią, bo ty go kochałaś!...

A mówiąc to, płakał i śmiał się na przemian. I ciągle groźny, wstrząsając sztyletem, upadł na kolana przed nią i mówił z wyrazem miłości szalonej i dzikiej:

— Tak, kocham cię, gdyż jesteś tak jak ja córką cygana... i nie potrafisz temu zaprzeczyć... chrześcijanka pewnieby nie strzeliła do mnie... Dlatego ciebie wybrałem... dlatego porwę cię ztąd... i ty pójdziesz za mną... i będziesz moją żoną...

Słuchała go osłupiała. Zdawało się, że wzrok tego człowieka przemienił ją w statuę.

— Cóż? — mówił głosem łagodniejszym i pełnym pieszczot szorstkich — nie odpowiadasz mi?... A! boisz się pewnie... to sztylet ten cię przestrasza...

I w uniesieniu miłości, rzucił sztylet daleko od siebie. Potem zbliżył się do niej z rękami otwartemi.

— O luba, niech cię pocałuję na nasze zaręczyny! — zawołał.

I chciał ją uścisnąć, a usta jego gorące dotknęły czoła marmurowego baronowej. Ale ten śmiały zamiar złamał nagle urok.

Baronowa krzyknęła głosem stłumionym, wysunęła się z objęć cygana, a skoczywszy jak pantera, chwyciła sztylet, wołając:

— A! powiedziałeś mi, że jestem cyganką! Masz słuszność... jestem nią!... Spróbujemy się teraz nędzniku!

I pobiegłszy pędem do łóżka z sztyletem w ręku, pociągnęła gwałtownie taśmę od dzwonka.

Lampa nocna, stojąca na stole, oświecała jedynie tę scenę straszną.

Munito krzyknął z wściekłością i rzucił się na baronowę. Ta stała nieporuszona, podobna do tygrysicy, gotowej rzucić się na swą ofiarę.

I gdy Munito zbliżył się do niej, baronowa pchnęła go sztyletem w ramię.

— Do mnie! do mnie! na pomoc! — wołała głośno. I rzuciwszy się na cygana, raniła go jeszcze raz drugi i trzeci.

W oddali było słychać zbliżające się kroki sług, którzy biegli na pomoc. Baronowa uderzała z wściekłością, a Munito bezbronny zasłaniał piersi rękami.

Rozjątrzona jak lwica — prawdziwa cyganka w tej chwili — byłaby może na miejscu zabiła Munita, nim przybiegli z pomocą, gdyby Munito rozwścieczony i jak szalony z bolu, nie był nagle przewrócił lampki, która natychmiast zgasła. Wtedy, korzystając z chwili, rzucił się do okna i otworzył je.

W tejże samej chwili służba wywaliła drzwi, które były zamknięte na rygiel...

I pani de Planche-Mibray okryta krwią, wstrząsając ciągle sztyletem, ukazała im się bezprzytomna i jak szalona...

Munito znikł!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.